

Teksty Drugie 1990, 5-6 , s. 105-111



CENTRUM  
HUMANISTYKI  
CYFROWEJ

# Cnota i Rozkosz

Wojciech Tomasiak

## Cnota i Rozkosz

Pisał swego czasu Jerzy Ziomek:

Historyk literatury ma przed sobą dwie możliwości niczym Herakles na rozstajnych drogach: drogę naukowej powściągliwości i roztropności oraz drogę naukowego ryzyka. Wydaje się, że humaniście bardziej przystoi — wbrew moralowi toposu Heraklesa — ta druga droga.<sup>1</sup>

Analogia Ziomka nie przekonuje do końca: dlaczegoż bowiem droga naukowego ryzyka nie miałyby odpowiadać właśnie Cnocie z Heraklesowego wyboru; działania podejmowane w warunkach niepewności i groźby niespełnienia słabo wszak kojarzą się z Rozkoszą. A dalej — z jakich to względów humaniście wypada pójść drogą bezspornie uciążliwszą? Wybrana przez Heraklesa Cnota zrewanżowała mu się nieśmiertelnością; na co może liczyć ambitny historyk literatury? Mimo wszystko analogię uważam za trafną, uzmysławia bowiem istotne dylematy, które musi rozstrzygać humanista: nie może on mianowicie wywikłać się z sytuacji wartościowania. Nie tylko to, co bada, jest sferą zjawisk wartościowości, domagających się przeto oceny: deklaracja aksjologiczna mieści się także w wyborze określonej strategii badawczej — sposób mówienia o literaturze odsyła zawsze do preferowanego (a przynajmniej — akceptowanego) modelu naukowości. Dlatego z odrobiną ironii konstatawał Ziomek:

---

<sup>1</sup> J. Ziomek, *Metodologiczne problemy syntezy historycznoliterackiej*, w: *Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa*, red. H. Markiewicz i J. Sławiński, Kraków 1976, s. 53.

Jest się albo immanentystą, albo genetykiem, albo są dzieła i nie ma reguł, albo są reguły i nie ma dzieł. Rzadkie bywają doktryny eklektyczne. W ogóle nie wypada być eklektykiem.<sup>2</sup>

Henryk Markiewicz jest eklektykiem, co więcej — eklektykiem z wyboru; najnowsza książka tego autora *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa*\* nie pozostawia w tej materii cienia wątpliwości. Eklektyzm Markiewicza stanowi — powtarzam raz jeszcze — opcję na rzecz określonego porządku wartości: jest opowiedzeniem się za równoprawnością rozmaitych procedur badawczych, afirmacją dyskursu niejednorodnego, bogatego i wielokształtnego, czasem nawet — wewnętrzenie skłóconego. Postawę Markiewicza cechuje życzliwa tolerancja — uporczywy wysiłek zmierzający do zrozumienia innych postaw badawczych, opartych na odmiennych relacjach i systemach uwiarygodnień. Tak wyrażającej się tolerancji towarzyszy swoisty optymizm: prezentując współczesną myśl literaturoznawczą (*Rzut oka na najnowszą teorię badań literackich za granicą*), jej wielokrotnie powikłania i niekonsekwencje, Markiewicz dostrzega w tym stanie przejaw witalności dyscypliny, dowód na to, że: „teoria badań literackich nie jest skazana ani na spiralną powtarzalność, ani na autolikwidację” (s. 31). Markiewiczowski eklektyzm oznacza także wzmożoną samorefleksyjność — nieustanną kontrolę nad własnymi przeświadczeniami i drobiazgową analizę przyjmowanych założeń. W uświadamianiu sobie nieuchronnych ograniczeń, jakie narzuca badaniom jakikolwiek zestaw tez wyjściowych, zawiera się odpowiedź na postulat obiektywności literaturoznawczych działań.

Eklektyk nie mógłby znaleźć się w sytuacji Heraklesa; eklektyk szuka bowiem kompromisu: nie boi się naukowego ryzyka, ale ceni też badawczą powściągliwość; obce mu jest minimalizowanie celów poznawczych dyscypliny, którą uprawia, ale równie obca jest mu metodologiczna dezynwoltura; chce iść daleko, stąpając jednak po utwardzonym gruncie. Markiewicz odrzuca ascetyzm problemowy i jego szczególną postać — poznawczy eskapizm. Głosi:

potrzebę powrotu do fundamentalnych problemów procesu historycznoliterackiego, które wielu badaczy literatury, zniechęconych uprzednimi niepowodzeniami lub zmianą mód naukowych, usunęło poza krąg swych zainteresowań (s. 167).

Panowanie orientacji antyhistorycznych (Nowa Krytyka, sztuka interpretacji, ortodoksyjny strukturalizm) da się — przynajmniej w pewnym stopniu — powiązać z rodzajem poznawczego defetyzmu: głęboką niewiarą w możliwość uchwycenia historycznych uwikłań zjawisk literackich oraz dotarcia do tych znaczeń, jakimi utwór obrósł w macierzystym kontekście interpretacyjnym. Przekonanie o niedostępności interpretacji autorskiej, połączone z przeświadczeniem o niezbywalnym współuczestnictwie odbiorcy w konstytuowaniu sensu, musiało zaowocować przyzwoleniem na postawę relatywizmu poznawczego, a w dalszej konsekwencji — ab-

<sup>2</sup> Ibidem, s. 37.

\* Henryk Markiewicz, *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa*, Warszawa 1989, ss. 288.

solutyzacją zainteresowań samym utworem (względnie jego konkretyzacjami) kosztem układów ponadtekstowych (gatunek, prąd, okres) i nietekstowych (instytucje literackie, struktury społeczne).

Markiewicz wierzy w osiągalność poznania historycznego, zna również cenę, jaką trzeba ponieść obierając ten kierunek literaturoznawczych działań. Problem poznania historycznego sprowadza się przede wszystkim do tego, w jakiej mierze poznanie to deformowane jest kontekstem myślowym badacza; w jakim stopniu badacz potrafi ów kontekst uchylić (zneutralizować), by odsłonić i zrozumieć zjawiska w ich historycznej niepowtarzalności. Czy jednak właśnie niepowtarzalność zjawisk, ich ściśle zespolenie z otoczem kulturowym i światem wartości, do których badacz nie może mieć dostępu, nie kwestionują sensu poznania przeszłości? Albo raczej — czy poznanie historyczne jest w stanie uniknąć ujęć subiektywnych i prezentystycznych? Tworzenie syntez historycznoliterackich — sugeruje Markiewicz — nie zapewni badaczowi komfortu pełnego obiektywizmu; charakteryzując poznanie historyczne z aprobatą przywołuje opinię Gerharda Rusha, wedle którego każda taka synteza jest niechybnie „częstkowa, perspektywiczna, subiektywna, relatywna i przede wszystkim konstruktywistyczna” (s. 20, 251).

W *Dylematach historyka literatury* (tekście określonym przez autora jako „wyznanie wiary”) dałoby się z pewnością odczytać myśl następującą: budowanie historycznoliterackich syntez jest z wielu powodów przedsięwzięciem poznawczo niepewnym. Ryzyka błędu nie da się do końca wyeliminować, ale można je rozmaitymi środkami pomniejszyć („zredukować do nieusuwalnego już minimum”). Tak więc prezentyzm przestaje być groźny, gdy jest okolicznością uświadamianą i kontrolowaną — w kalkulowaną niejako w postępowanie analityczne. Markiewicz przekonująco dowodzi, że poznanie historyczne niesie niezbywalną przymieszkę anachronizmu: rzutowania w przeszłość kategorii i wartości współczesnych badaczowi. Pojęcie literatury w dzisiejszym rozumieniu ukształtowało się dopiero w XVIII wieku; wprowadzając to pojęcie do opisu okresów wcześniejszych, należy mieć świadomość zniekształceń, jakie do ich obrazu wnosi nieswoisty system kategorialny. Co więcej, badacz musi przyjąć, iż stopień tej nieswoistości może być określony jedynie w trybie hipotezy: kontekst pojęciowy, który przeciwstawia swemu własnemu, jest wszak tym, co poznający przeszłość usiłuje właśnie rozpoznać i zrozumieć.

Dzieło literackie jawi się jako pochodna interakcji pomiędzy właściwościami tekstowymi a strategią recepcyjną stosowaną przez odbiorców. Interpretacja, jaką winien podjąć historyk literatury, musi zdać sprawę z tej interakcji: odtworzyć oczekiwania pierwszych czytelników, podejmowane przez nich praktyki lekturowe, a wszystko to po to, by zrekonstruować znaczenia, jakich użyczył dziełu jego pierwotny układ recepcyjny. Historyk literatury i w tym wypadku powinien wyzbyć się złudzeń: „tak zbudowana interpretacja jest tylko hipotetyczna i trudno ją oczyścić od modernizujących domieszek” (s. 258).

Trudności potęgują się jeszcze bardziej, gdy badaczowi literackiej przeszłości przyjdzie podjąć kwestię wartości — szczególnie tutaj bowiem współczesna perspektywa recepcyjna staje się źródłem poznawczej dystorsji. Ocenianie wartości rozwojowej dzieł (określenie F. Vodicki) nieuchronnie jakby wplątuje w rozważania punkt widzenia poznającego: zazwyczaj wprowadza w charakterze układu odniesienia ten repertuar norm literackich, które usankcjonowała współczesność badacza. Absolutyzacja (czy choćby uprzywilejowanie) tego repertuaru skłaniać może do szukania jego antycypacji i wytyczania linii rozwojowej literatury — systematycznie wznoszącej się i kulminującej w momencie, który wyznacza właśnie perspektywę oceny.

Wreszcie kwestia relacji: literatura — układy nieliterackie. Teza o historyczności zjawisk literackich prowadzi do pytań dotyczących uwarunkowań, jakim podlega literatura ze strony układów zewnętrznych. Historia literatury nie może wyminąć wyjaśnień kondycjonalistycznych, tu jednak poprzestać trzeba na konstatacjach bardzo ostrożnych, nie osiągających mocy wyjaśnień przyczynowych. Nawet jednak zachowując daleko posuniętą ostrożność w wyjaśnianiu przemian form literackich, badacz musi mieć na uwadze, że także w tym przypadku „są to wyjaśnienia niepełne i hipotetyczne” (s. 267).

Nie ma wątpliwości: poznawanie literatury w jej historycznym wymiarze to droga naukowej niepewności; to przedsięwzięcie ryzykowne, ale i heroiczne — wielkość włożonego wysiłku badawczego nie znajdzie potwierdzenia w walorach rezultatów. Uderzająca dysproporcja nakładów i efektów może stanowić wystarczające uzasadnienie dla poszukiwania innych sposobów mówienia o literaturze. Markiewicz lojalnie przyznaje:

skądkolwiek patrzymy, synteza historycznoliteracka jawi się nam jako konstrukcja ułomna — nie dająca się w pełni zrealizować ze względu na luki materiałowe, zdeformowana, jeśli nie subiektywizmem, to w każdym razie prezentyzmem, tylko hipotetyczna w wyjaśnianiu (...) skazana nieuchronnie na niejednorodność i niekonsekwencję, kompromisy i wybiegi (s. 273—274).

Sytuacja taka — dodaje — nie może wszakże usprawiedliwiać badawczej niefrasobliwości, nie powinna również służyć „wewnętrznemu przyzwoleniu na dowolności i nieściśłości”. Markiewicz jest eklektykiem w działaniu: odwagę i ambicję twórcy historycznoliterackich syntez tonuje roztropnością i dojrzałą rozważą teoretyka; optuje za maksymalnym powiększeniem obszaru literaturoznawczych zainteresowań, ale zarazem ostrożnie odnosi się do rozmaitych projektów problemowej ekspansji dyscypliny.

Nadzieję na poszerzenie pola literaturoznawczych penetracji pokłada się dziś powszechnie w reorientacji na zagadnienia odbioru i odbiorcy; programy „historii literatury z perspektywy czytelnika” (H. Weinrich) czy „poetyki odbioru” (E. Balcerzan) zdają się obiecywać interesujący wzorzec konceptualny. Popularności nabiera przekonanie, iż reorientacja taka ma charakter zasadniczy. Nie chodzi o zwykłe przesunięcie punktu ciężkości w badaniach literackich, lecz o zupełnie inne uporządkowanie i uhierar-

chizowanie literaturoznawczych pytań, a w rezultacie — o odrzucenie tradycyjnego modelu uprawiania dyscypliny. W nowym modelu (paradygmacie) problem odbioru i odbiorcy eliminuje inne kwestie poznawcze, dokładniej — wchłania je wszystkie i upodrzędnia. Ekstremizm formułowanych teorii służy jakby przyświadczeniu radykalności dokonanych zmian.

Markiewicz nie kwestionuje potrzeby zmiany w rejestrze pytań badawczych, godzi się na szersze uwzględnienie w nim spraw dotyczących czytelnika i procesów lekturowych. Przypomina jednak usilnie o podstawowym wymogu, jakiemu musi sprostać każda konstrukcja teoretyczna — wymogu adekwatności. Teorie recepcyjne anektują problematykę, w stosunku do której okazują się całkowicie nieoperatywne; owocują tu konstatacjami mało interesującymi, tautologicznymi, niekiedy — rażąco banalnymi. Historyk literatury nie powinien pominąć badań nad przemianami w recepcji utworów literackich, ale teoretyczne wsparcie, jakie oferują mu rzecznicy „estetyki recepcji i oddziaływania” domaga się krytycznego rozpatrzenia. Leon Petrażycki mówił o teoriach skaczących — przekraczających zakres swej stosowalności; takim właśnie defektem dotknięte są — według Markiewicza — współczesne doktryny recepcyjne. Nieodczowna okazuje się tu lekcja naukowej powściągliwości: teorie recepcji i oddziaływania ukazują swą użyteczność tylko „sprowadzone do granic właściwej im wydajności poznawczej [i] traktowane komplementarnie wobec innych ujęć” (s. 246—247).

Równie wstrzeźliwie odnosi się Markiewicz do pożytków płynących z kontaktów literaturoznawstwa z innymi dyscyplinami humanistycznymi — semiotyką, socjologią, psychologią głębi. Każda z tych dziedzin uzmysławia badaczowi mnogość aspektów poznawczych, podsuwa mu przy tym aparat pojęciowy, pozwalający lepiej zapanować nad tą wieloaspektowością przedmiotów. Książce Markiewicza przyświeca idea literaturoznawstwa, którego stosunki z innymi dziedzinami humanistyki układają się na zasadach przykładowego dobrosąsiedztwa, „zacierają się granice nauk humanistycznych, a może — kształtują się granice odmienne od dotychczasowych” (s. 8). Ale właśnie w tych warunkach bardzo potrzebna staje się poznawcza ostrożność: produktywność kategorii, jakie podsuwają badaniom literackim dyscypliny pokrewne, okazuje się często iluzoryczna. Trudno o lepszy przykład niż semiotyka — oferowany przez nią aparat terminologiczny jest równie bogaty, co mało użyteczny; Markiewiczowskie *Pytania do semiotyków (literatury)* prawdopodobnie długo jeszcze pozostaną bez odpowiedzi.

Markiewicz nie taił i nie tai swego przywiązania do badań posiłkujących się wątkami marksistowskimi. To przywiązanie nie stępia jednak krytycyzmu wobec tego stylu myślenia o literaturze. Literaturoznawstwo marksistowskie daleko odeszło od formuł Plechanowa i Lukácsa (z lat trzydziestych), okazując swą inspirującą wartość dla wielu współczesnych formacji metodologicznych (rozmaicie zresztą interpretujących ideologiczne składniki doktryny). Przy ocenie orientacji marksistowskich (*Koncepcje mark-*

*sistowskie w zachodnim literaturoznawstwie ostatniego ćwierćwiecza*) niezbędne wydaje się oddzielenie formułowanych tu pytań od proponowanych odpowiedzi: nie sposób — sugeruje Markiewicz — zlekceważyć doniosłość problemów, jakie stawia ten kierunek badań, trudno jednakże przystać na większość z oferowanych rozwiązań. Być może właśnie w stosunku do badań marksistowskich ujawnia się wyraźnie jeden jeszcze rys postawy poznawczej Markiewicza: preferowanie walorów pytań nad wartościami odpowiedzi. Postawienie nowego problemu reorganizuje większość już istniejących, zmienia zatem kontury całego pola dyscypliny i jego wewnętrzne rozparcelowanie. A odpowiedź — tu „z góry założyć trzeba, że (...) jest niepełna, sporna, prowizoryczna” (s. 221).

Markiewiczowska powściągliwość nie ma w sobie nic z defetyzmu czy asekurancja (choćby spod szyldu „lepiej mniej, ale lepiej”). To postawa sceptyka, który ostrożnie szacuje swe poznawcze możliwości, ale podejmuje stale wysiłek ich maksymalnie twórczego spożytkowania.

Nie będę ukrywał — spośród wszystkich tekstów zamieszczonych w książce największe wrażenie wywarł na mnie szkic poświęcony Bachtinowi (*Polifonia, dialogiczność i dialektyka. Bachtinowska teoria powieści*). Ogniskuje on, jak sądzę, większość cech charakteryzujących poznawcze nastawienie Markiewicza: wierność dyrektywom podejścia historycznego, analityczną sumiennosc i nieuleganie interpretacyjnym szablonom.

O twórczości autora *Problemów poetyki Dostojewskiego* napisano już dużo, być może nawet — za dużo. W pisaniu o Bachtinie uformowały się dotąd dwie tendencje: pierwsza — usilnie poszukująca w jego koncepcjach zapowiedzi różnych współczesnych doktryn i formuł literaturoznawczych (J. Kristeva — intertekstualność) i druga, w jakimś sensie przeciwna poprzedniej — jednoznacznie etykietyzująca owe koncepcje („dialogiczność”, „polifonia”), ale zarazem wydobywająca je z historycznej otuliny. Tendencja pierwsza usilnie modernizuje idee Bachtina, druga lokuje je poza czasem i w izolacji od społecznych uwarunkowań. Ponadto — interpretatorzy reprezentujący obie orientacje nie biorą pod uwagę swoistej złożoności wystąpień Bachtina, odczytując w nich wyłącznie warstwę dyskursu naukowego.

Markiewicz kreśli inny obraz. Przede wszystkim chwyta dynamikę Bachtinowskiej myśli — jej meandry, posuplania, wewnętrzne sprzeczności. Nie szuka w niej ciągłości, odwrotnie — śledzi zerwania i przeskoki, drobne przesunięcia i zaskakujące wolty. Odślania nadto wielowarstwowość prac badacza: to bowiem „nie tylko wypowiedzi naukowe, lecz także program literacki, co więcej — filozoficzne i kulturowe wyznaczenie wiary” (s. 99).

Markiewiczowski Bachtin nie tworzy w społecznej i historycznej próżni. *Problemy poetyki Dostojewskiego*, podobnie jak inne rozprawy autora, nierozdzielnie związane są z kulturowo-ideologicznym tłem epoki. Związek to wszakże osobliwy, bo nacechowany głęboką niezgodą (chciałoby się powiedzieć — „dialogicznością”); z tej właśnie postawy sprzeciwu wyrasta z lekka tylko tłumiony normatywizm Bachtina: preferowanie powieściowej polifonii — ścierania się w utworze różnych i równoprawnych racji

ideowych. Bachtinowska historia powieści (w tym: koncepcja dwu linii rozwojowych gatunku) jest swoistym odbiciem czasów, w jakich została sformułowana. Proponowane ujęcie mówi o przeszłości literackiej formy, ale zarazem o czasach autorowi współczesnych:

Pod historycznymi wywodami odczytać można łatwo przesłanie Bachtina do współczesności — gloryfikację życia swobodnego, różnorodnego i twórczego, myśli niepodległej wobec wszelkiego dogmatu (s. 121).

Markiewicz trzeźwo ocenia użyteczność pomysłów Bachtina: ich stosowaniu musi towarzyszyć świadomość, iż autor wyłożył je „w sposób pobieżny, metaforyczny, nie dający się zoperacjonalizować” (s. 107).

Sądzę, że ta ostatnia uwaga wcale nie pomniejsza wartości Bachtinowskich idei. Przynosi tylko ocenę bardziej wyważoną, daleką od bezkrytycznego entuzjazmu.

<http://rcin.org.pl>

*Wojciech Tomasiak*